

Kirył Bułyczow - Są wolne miejsca

Młodzienc w starannie odprasowanym granatowym garniturze z ciemnym krawatem stanął w drzwiach i zapytał:

- Który z panów jest, za przeproszeniem, Lwem Chrystoforowiczem? Obróćeni w stronę gościa stali w gabinecie dwaj mężczyźni. Jeden był może nie gruby, ale krępy. Łysa głowa fascynowała szlachetnością linii. Małeńkie, jaskrawo-niebieskie oczy patrzyły na młodego człowieka wnikliwie i uważnie. Drugi był młodszy, zarośnięty, chudy, i wiecznie podniecony.

- Pan jest Lwem Chrystoforowiczem? - zapytał młodzienc zarośniętego, który jakoś bardziej wyglądał mu na geniusza.

Ale zarośnięty z uśmiechem wskazał oczami łysego, który powiedział ostro, jak powiedziała by Sherlock Holmes:

- Profesor Minc to ja. A pana niedawno postawiono na kierowniczym stanowisku i spotkał się pan z nieprzewidzianymi trudnościami, nieprawdaż?

Młodzienc potulnie przytaknął.

- I trudności okazały się tak wielkie, że nie jest pan sobie w stanie z nimi poradzić. I ktoś znajomy, najprawdopodobniej kierownik naszego przedsiębiorstwo budowlanego, Korneliusz Udałow, poradził panu pójść do dobrego wujaszka Minca i poprosić, żeby wynalazł beton bez cementu, bo akurat cementu panu nie dowieźli, a plan się wali. Było tak czy nie?

Młodzieniec odpowiedział:

- Prawie tak.

Dlaczego "prawie"? - Zdziwił się Minc. - Zawsze w takich sprawach mam rację.

- Przyjść do pana poradził mi Misza Standal z gazety miejskiej, nie kieruję budową, tylko hotelem "Gęś".

- Być nie może! - wykrzyknął Minc. - Iwana Prokofiewicza zdjęli !

- Najwyższa pora - zauważył zarośnięty Grubin. - Niech pan siada, I po co stać.

Grubin podsunął młodzieńcowi krzeło, ale ten odmówił.

- Nasiedziałem się - powiedział. Trzeci dzień przejmuję dokumentację.

- Do niczego się panu nie przydam - wtrącił Minc.
- Hoteli budować nie potrafię, a jeśli chodzi o dokumentację, to ze mnie całkowity profan.

- Proszę mnie najpierw wysłuchać! zakwilił młody dyrektor. - Nazywam się Fiodor Fiodorowicz Łastoczkin, pracowałem w rozpowszechnianiu filmów, a teraz rzucili mnie na usługi. Mówią: trzeba. Zgodziłem się. Hotel nieduży, pretendentów do łóżka wielu, obsługa kuleje. Zresztą co wam będę mówił, sami wiecie.

- Wiemy, wiemy - opowiedział Grubin. - Wywieszkę "Nie ma wolnych miejsc" to macie przynitowaną na stałe.

- W zasadzie ma pan rację. Ale co to zmienia? Przez dwa dni tłumaczyłem brak mięsa błędami poprzedniej dyrekcji, a dzisiaj wzywa mnie Białowielski i powiada, że pojutrze w naszym mieście nastąpi otwarcie sympozjum na temat hodowli raków i znaczenie tego wydarzenia wykracza daleko poza granice naszego obwodu. Dla uczestników sympozjum trzeba zabezpieczyć dwadzieścia osiem luksusowych pokoi. Ja w hotelu mam ich wszystkiego trzydzieści trzy. A wszyscy klienci mają delegację, wszyscy w pretensjach. Do tego jeszcze w holu koczuje na walizkach coś z piętnaście sztuk. Opowiedziałem to wszystko mojemu przyjacielowi, Miszy Stendalowi, a on na to: pomóc ci może jedynie profesor Minc. To prawdziwy geniusz. No to przyszedłem.

Fiodor popatrzył na Minca wzrokiem pełnym męki. I Mincowi drgnęło serce. Jeszcze przed chwilą był przekonany, że kolejnemu petentowi pokaże drzwi. Ale młodzieniec rzeczywiście znajdował się w krytycznej sytuacji. I pobudki miał

szlachetne. W sumie to ważne znaleźć dodatkową powierzchnię mieszkalną...

A do tego: wspaniały intelekt profesora Minca zetknawszy się z nie rozwiązaniem, zaczął aktywnie pracować niezależnie od woli swego posiadacza. Wynajdując i odrzucając tysiące wariantów, starał się znaleźć rozwiązanie, nie pozwalając Lwu Chrystoforowiczowi spokojnie spać i przyjmować posiłków.

- Nie - usłyszał Lew Chrystoforowicz głos Saszy Grubina. - Tu ci, Fiedia, i profesor Minc nie pomoże. Jeszcze nikomu nie udało się zatrzymać w naszym hotelu ot, tak sobie. To nie problem naukowy, tylko społeczny.

- Problemy, których by nauka nie potrafiła rozwiązać nie istnieją - surowo odpowiedział profesor Minc. Wszystko na tym świecie jest ze sobą powiązane.

- Oho - powiedział Sasza Grubin - coś mi się wydaje, że całe moje gadanie na nic. Czuje moje serce, że pan się weźmie za ten hotel.

- I to bez zwłoki - powiedział Minc. - Jesteście wolni. Rozpoczynam proces myślowy.

- A kiedy mam przyjść po odpowiedź? - z nadzieją w głosie zapytał dyrektor hotelu.

- Sympozjum jest pojutrze? No to jutro po obiedzie.

Nazajutrz o trzeciej Fiodor Łastoczkin stał już pod oknem profesora. Nerwowo zacierał ręce, patrzył w górę, ale w sumie zachowywał się nienatrętnie. Wreszcie głowa profesora pojawiła się w oknie, słońce odbiło się w łysinie i lustrzany zajaczek poleciał w chmury.

- Czemu pan, nie wchodzi? - krzyknął profesor.

- Bałem się panu przeszkadzać odpowiedział dyrektor hotelu.

- Już można - oznajmił Minc. Jabłko spadło.

Siedzieli w gabinecie Minca od trzeciej do dziewiątej. Z pokoju dobiegały głosy to podniesione w sporze, to przycichające refleksja. Po sześciu godzinach kryzys hotelowy w Wielkim Guslarze został rozwiązany. A Fiodor poszedł do siebie, tuląc czule do piersi ciężką metalową skrzynkę z urządzeniem, które Lew Chrystoforowicz konstruował w innym co prawda celu, ale mądrze je przystosował do rozgęszczania lokatorów.

Było już ciemno, kiedy Fiodor wszedł do żółtego budynku, dawnego hotelu "Promenada" służącego przyjezdnym kupcom, a teraz po dobudowaniu drugiego piętra i wymianie aksamitnych portier na nylonowe zasłony - będącego siedzibą miejskiego hotelu "Gęś" - agendy przedsiębiorstwa usług komunalnych.

W holu, pod ogromną, nadnaturalnej wielkości kopią obrazu Riepina "Iwan Groźny zabijający swego syna, Iwana" mrowili się jak pogorzelnicy

bezdomni klienci. Dyrektora ze skrzynką nikt nie podejrzewał o bycie dyrektorem, więc bez przeszkód przedostał się do swego gabinetu. Tylko rubensowska w wyrazie Dusia, dyżurna recepcjonistka, osadziła wzrokiem na miejscu czarnowąsęgo mężczyznę, który usiłował jej podetknąć wypełniony blankiet meldunkowy. Recepcjonistka Dusia była przekonana, że im mniej dóbr, tym lepiej dla niej - ich szafarki, bo zawsze przecież znajdzie się człowiek mądry, gotów właściwie ocenić jej wielkoduszność.

Następnego dnia dyrektor hotelu wcześniej przyszedł do pracy. Dusia jeszcze drzemała za barierką, w holu na krzesłach i walizkach spali bezdomni klienci. U siebie w gabinecie dyrektor otworzył sejf, w którym spędziła noc wynaleziona przez profesora Minca maszyna, wyjął ją i postawił na biurku. Potem włączył do prądu. I w tym momencie zadzwonił telefon. Dzwonił sam Biełosielski:

- I co robimy, Łastoczkin? - zapytał.

- Pomieścimy - spokojnie odpowiedział Fiodor.

Biełosielski westchnął i uprzedził:

- Tylko grzecznie, bez skandali! Poprzednich gości siłą nie wysiedlać! Nie zapominaj, że hasło "cel uświęca środki" wymyślili średniowieczni wstecznicy, jezuiti. Nam z nimi nie po drodze!

- Żadnych jezuitów - odpowiedział Łastoczkin. - Myślę nawet, że zostanie trochę wolnych miejsc.

- No, no... - powiedział Białosielski. Jego zadanie polegało na tym, aby podwładni uprawiali swoje skromne niwy, nie gwałcąc zasad humanitaryzmu. A szczegóły - to już ich sprawa.

Urządzenie pracowało. Migąło lampkami i cicho szumiało, jak przystoi fantastycznej maszynie. Odłożywszy słuchawkę Łastoczkin zaczął naciskać guziki...

Pół godziny później wyszedł do holu. Pogorzelnicy gnieździli się pod obrazem. Dusia malowała na niebiesko sztuczne rzęsy, złote pierścionki sypały w słońcu skry: Rubensowska recepcjonistka była uciążliwym spadkiem po poprzedniej dyrekcji.

- Na dziś jest pani wolna - powiedział Łastoczkin.
- Pokoje sam porozdzielałam.

- Co tam dzielić! - odpowiedziała Dusia. - Wolnych miejsc nie ma. Fiodor nie wdawał się z nią w dyskusję. Począł, aż Dusia wyjdzie i otworzył książkę meldunkowa. Wyjął z kieszeni karteczkę z tajemniczymi znaczkami i szybko naniósł je na rubryki księgi. Potem wyszedł na ulicę, zerwał niklowaną tabliczkę "Nie ma wolnych miejsc" i przymocował do drzwi kartkę z napisem "Wolne miejsca są". Wrócił do holu, spojrzął na budzących się pogorzelców i oznajmił im:

- Towarzysze, proszę podchodzić po kolei. Postaramy się zabezpieczyć wam powierzchnię mieszkalną!

Następne trzy dni stały się dla miasta prawdziwym świętem. Uczestnicy sympozjum udekorowani gigantycznymi znaczkami przedstawiającymi czerwonego raka na błękitnym tle spacerowali po mieście, podziwiali zabytki architektury i owocnie obradowali w komisjach i na zebraniach plenarnych. Po ich wyjeździe pełen nieufności Biełosielski incognito odwiedził hotel "Gęś", zajrzał do księgi meldunkowej, w której nie znalazł żadnych nieprawidłowości, i do książki skarg i wniosków, gdzie odkrył szesnaście pochwał pod adresem dyrekcji. Po tej wizycie Biełosielski wystąpił na zebraniu Miejskiej Rady Narodowej ze zwięzłym acz dobitnym przemówieniem na temat korzyści płynących ze stawiania na młodych. Jako przykład przytoczył pozytywne zmiany w funkcjonowaniu hotelu, którym ostatnio kieruje towarzysz Łastoczkin F. F.

I tak to się potoczyło. W spokojniejsze dni Fiodor oddawał ster władzy w ręce recepcjonistów, a gdy zbliżał się jakiś większy zjazd, odprawiał wszystkich do domów i, spędziwszy pół godzinki w towarzystwie maszyny profesora Minca, z pieśnią masową na ustach zakwaterowywał rozhisteryzowanych przyjezdnych.

I tylko Ducia cierpiała. W jej przekonaniu dyrektor był nędznym oszustem, alby wręcz bandytą. Zbyt dobrze znała się na pracy w gospodarce komunalnej. żeby nie rozumieć, że wyczyny Łastoczкина pachną czarna magią i szalbierstwem. Wiedziała, że hotel od czasu do

czasu mieści dwa razy więcej gości niż ma pokoi. Strumień dowodów, wdzięczności dla Dusi zaczął gwałtownie wysychać. Ale zdemaskowanie dyrektora okazało się nie takie łatwe. Książki prowadził porządnie, a gdy zwały się stada gości, pozbywał się Dusi. Raz o mało nie złapała go za rękę, ale wywinął się jak piskorz.

Było to tak. Z Władywostoku przyjechał autobus pełen turystów. Nieoczekiwanie. Hotel był pełny. Kiedy Fiodor poszedł ich poupychać, Dusia udała, że wychodzi, ale umyślnie zostawiła torebkę i po jakichś piętnastu minutach cichutko, na paluszkach wróciła. Fiodor był tak pogrążony w pracy, że nie od razu spostrzegł jej pojawienie się. Dusi udało się podejść blisko i zajrzeć mu przez ramię. I zobaczyła, że wypisuje turyście kwit na pokój nr 14. Na ten sam pokój, w którym Dusia umieściła wybitną dojarkę z Wołogdy! Dusia powinna była siedzieć cicho, kontynuować obserwację, zebrać jak najwięcej faktów i wystrzelić z grubej rury, ale nie wytrzymała i od razu zaczęła działalność demaskatorską.

- Co pan robi, Fiodorze Fiodorowiczu! Tam śpi kobieta, a pan pcha do pokoju mężczyznę!. Za szerzenie rozpusty na pewno pana po główce nie pogłaszczą!

- Jaka znowu kobieta? - zaniepokoił się turysta. - Nie chcę! Mam żonę!

- Jewdokio Siemionowna - dyrektor hotelu zamknął księgę i spojrzał na recepcjonistkę złym

wzrokiem. - Zechce pani wyjść. Wybitną dojarkę przeniosłem do innego pokoju. Niech pani nie szerzy plotek.

Cóż było robić? Dusia wzięła torbę i wyszła. Ale się nie poddała. Na drugi dzień, kiedy dyrektora nie było w pobliżu, poszła do numeru czternastego, zobaczyła tam wybitną dojarkę i bez owijania w bawełnę zadała jej pytanie:

- Panią wczoraj przeniesiono do innego pokoju? "

- Nie.

- W pani pokoju nocował obcy mężczyzna?

- Jak pani śmie! - zarumieniła się wybitna dojarka. Była młoda i ładna, a jej narzeczony został w Wołogdzie.

- Poszedł sobie o jedenastej, tak? - Tu nikogo nie było - oczy wybitnej dojarki napełniły się łzami. - Jak pani śmie!

Dusia jej uwierzyła i ze zdwojoną czujnością zaczęła śledzić dyrektora. Wpadł po dwóch dniach.

A stało się to tak: zawiadomiono hotel, że rano przyjadą nurkowie-amatorzy w ilości sztuk czterdzieści, a sezon turystyczny w pełni, hotel zapchany po brzegi. Dusia zobaczyła, że optymizm dyrektora zaczyna się chwiać. Podśluchała nawet, jak dzwonił do Bięłosielskiego, żeby ten ratował go od nurków, ale Bięłosielski, przekonany o dyrektorskiej wszechmocy odpowiedział krótko:

- Trzeba, Fiedia.

Komu innemu może by i pomógł, opróżniając dla nurków-amatorów budynek Technikum Rzecznego, ale Fiodor Biełosielskiego rozpuścił. A szef też człowiek, lubi mieć święty spokój.

Tak czy inaczej Fiodor nie poszedł tego dnia do domu, tylko zamknął się w swoim gabinecie. O dziesiątej wieczorem Dusia podkraǳła się pod drzwi i usłyszała męskie głosy, dyrektor nie był sam. Przyłożyła ucho do dziurki od klucza, ale nie mogła niczego zrozumieć. Wyszła na zewnątrz i stanęła pod oknem. Firanka lekko się odchyliła, więc Dusia zajrzała do środka. Potem zemdląła. A kiedy rześkie powietrze nocy i bzykanie komarów doprowadziły ją do przytomności, pogoniła pisać skargę na dyrektora z żądaniem natychmiastowego przysłania kontroli i przykładowego ukarania tego plugawca.

Nurkowie-amatorzy przespali się jakoś na polowych łózkach, a tego samego dnia - bo sygnał Dusi był mocno alarmujący - po obiedzie pojawiła się kontrola.

Kontrola usiadła przeglądać księgi, a dyrektor wymknął się z hotelu i popędził do profesora Minca.

- Ratunku! - powiedział. - Nie ustrzegłem się od kobry imieniem Dusia. Sprowadziła mi no głowę klęskę żywiołową. Jak tylko przejdą się z książką po pokojach, sprawa się rypnie.

- Ech - westchnął Minc. - Nie chce mi się odrywać od kolejnego wynalazku, ale nie widzę wyjścia. Chodźmy do Biłosielskiego. To szeroka natura, pełna troski o dobro miasta, będziemy z nim szczerzy.. Jeżeli go przekonamy, to wyjdziemy na swoje. A kontrolą się nie przejmuj. Niczego nie znajdą.

Biłosielski przyjął ich od razu. Minca bardzo szanował, nawet chlubił się tym, że ten genialny mąż cenił Wielki Guslar wyżej niż inne miasta. Przeciwno Fiodorowi też nic nie miał.

- W hotelu "Gęś" jest kontrola powiedział Minc, gdy już usiedli. - Niczego nie znajdą.

- Atak, mam już wyniki - połapał się Biłosielski.
- Tu trzeba, Fiedia, przypatrzyć się kolektywowi. W najzdrowszym kolektywie mogą znaleźć się jednostki nie w pełni uświadomione, ba - powiem więcej - elementy stojące na drodze postępu.

Fiodor kornie spuścił głowę. Był tego samego zdania.

- Kontrola niczego nie znajdzie kontynuował Minc. - Nadużyć finansowych nie było. Wszystkie rachunki zostały uregulowane. Może mi pan wierzyć.

- No to dlaczego się denerwujecie? - z niejaką ulgą zapytał Biłosielski.

- Dlatego, że to nie ostatnia kontrola - odparł Minc. - Wcześniej czy później znajdzie się jakiś skrupulant, który odkryje nieporządek.

- Mówiliście, że niczego takiego nie ma!

- Kantów nie ma - odpowiedział Minc - a nieporządek jest. Cechą szczególną nas, ludzi, jest odpędzanie od siebie wszelkich złych myśli. Pan, na przykład, na pewno dawno podejrzewał, że w hotelu nie wszystko jest, jak trzeba: przez wiele lat o pokoju trudno było nawet marzyć, a teraz zawsze są wolne miejsca. Ale dopóki wszystko szło gładko, postanowił pan niczego nie zauważać.

- W tym coś jest - przyznał Biełosielski. - To moje wyraźne niedopatrzenie. Więc powiedzcie wreszcie o co chodzi i pomyślimy wspólnie.

- Nie będę niczego ukrywał - zgodził się Minc. - Przyszedł do mnie towarzysz Łastoczkin i poprosił o pomoc. Zacząłem więc intensywnie myśleć nad rozwiązaniem kryzysu hotelowego w naszym mieście. Początkowo rozważałem metodę minimalizacji.

- Sprecyzujcie! - poprosił Biełosielski.

- Sprecyzuję. Metoda minimalizacji polega na redukcji odległości między atomami, dzięki czemu każda istota wielokrotnie się zmniejsza. Przeprowadziłem podobny eksperyment z szefem naszego przedsiębiorstwa budowlanego, Korneliuszem Udałowem, i był to eksperyment

udany, jeżeli oczywiście nie brać pod uwagę pewnych komplikacji natury osobistej i rodzinnej.

- Chwileczkę, chwileczkę - wtrącił Biełosielski. - Jak to? Widziałem wczoraj Korneliusza na zebraniu. Był zupełnie naturalnej wielkości!

- Minimalizacja działa w określonym czasie, mniej więcej dobie, przy czym nie jest szkodliwa dla zdrowia. Osobnik poddany minimalizacji kurczy się do rozmiarów myszy, a potem wraca do normalnej wielkości. Myślałem najpierw, że kupimy w sklepie z zabawkami lalczyne zabawki, uszyjemy pościel, piżamki...

Biełosielski pokiwał głową z niedowierzaniem.

- I o to chodzi - profesor Minc zauważył ten ruch.
- Też myślałem o kłopotach organizacyjnych. Każdemu wyjaśniać o co chodzi, budować magazyny na bagaże... A co będzie, jeżeli obywatele na delegacji będą chcieli robić w mieście zakupy? Albo komuś wyskoczy niezaplanowana narada?

- Nie - zdecydowanie stwierdził Biełosielski. - Niech pan wybaczy, Lwie Chrystoforowiczu, ja się pod tym nie podpiszę. Nie zgadzam się.

- I dobrze pan robi - potaknął Minc. - Ja sam też jestem przeciwny. Po prostu chcę panu unaocznić śmiały lot moich myśli.

- Rzeczywiście - zgodził się Biełosielski. - Bardzo śmiały.

- Tak więc porzuciwszy pierwszy pomysł - a także osiem innych, nad którymi nie będę się tu rozwodził - pozostałem przy najprostszej; czystej i na dzisiejsze czasy zwariowanej idei. Przy idei światów równoległych.

- Czy to nie jakaś mistyka? - zaniepokoił się Biełosielski.

- Problem w pełni naukowy - odparł Minc. - Czego dowodem hotel "Gęś".

- Proszę o szczegóły - surowo powiedział Biełosielski. - Kontrola już pracuje i muszę zapoznać się ze wszystkimi detalami.

- Detali nie ma wiele. Musi pan przyjąć, że nasza Ziemia nie jest w kosmosie jedyńcą, W innych wymiarach istnieje wiele równoległych do niej światów. Wynalazłem więc urządzenie, które pozwala nawiązać łączność z tymi z nich, które są do Ziemi najbardziej podobne. Jest tam oczywiście miasto Wielki Guslar, hotel "Gęś" i pozostałe realia naszego życia.

- Ja też jestem? - zapytał Biełosielski.

- Jasne. choć niedokładnie taki sam. W jednym świecie jest pan żonaty, w drugim ma pan węż, w trzecim coś tam jeszcze...

- Ciekawe - wyszeptał Biełosielski i w zadumie musnął palcami górną wargę.

- W sumie różnice między światami istnieją. I to stało się podstawą mojego eksperymentu. Na przykład jeżeli u nas sympozjum na temat hodowli raków jest dzisiaj, to na Ziemi-2 zacznie się dopiero jutro, a na Ziemi-3 zamiast raków wczoraj zaczęły się obrady ekspertów od łowienia pod lodem krokodyli.

- Rozumiem! - Ucieszył się Biełosielski. - I dzisiaj u nich hotele są puste!

- Pańska domyślność jest zaiste druzgocąca - wykrzyknął Minc. - Intelpekt prawdziwie dociekliwy jest wielką rzadkością.!

- Ależ, co pan... - zarumienił się Biełosielski. - Nie powiedział pan jednak, jak przewozicie klientów?

- I na tym polega mój wynalazek. Trzeba znaleźć punkty styczne dla tych światów, a jak się znajdzie - wykorzystać. Klient przychodzi do pokoju, gdzie mieszka już, na przykład, wybitna dojarka, otwiera drzwi i trafia do takiego samego pokoju, ale na Ziemi-2. A o to, żeby wychodząc z numeru, znalazł się z powrotem na naszej Ziemi, powinna się już zatroszczyć recepcjonistka z tamtego hotelu.

- Wspaniałe - przyznał Biełosielski. - Ale ryzykowne.

- Nasz eksperyment, jak wszystko co nowe, może spowodować nieporozumienia i nieżyczliwe plotki. Pan sądzi, że kontrola działa tylko na naszej Ziemi? O święta naiwności! W tej chwili pracują co najmniej trzy kontrole!

- I trzy Dusie?! - zapytał nagle Fiodor Łastoczkin.

- Może nawet więcej. Ale co tu wiele gadać. Zaraz sami zobaczycie. Minc wyciągnął z kieszeni miniaturowy aparacik i nacisnął guzik. Świat zawirował Biełosielskiemu przed oczami i naczelnik na chwilę stracił przytomność. Kiedy przyszedł do siebie zobaczył, że gabinet jakby się podzielił, nie zmieniawszy co prawda rozmiarów. A w gabinecie stoi trzech profesorów Minców, trzech Fiodorów Łastoczkinów i jeszcze do tego dwóch Biełosielskich (w tym jeden z wasami). Fiodorowie uśmiechnęli się do siebie życzliwie, bo przecież znali się nie od dziś i nie raz naradzali się, jak zakwaterować klientów - Dusia nie bez powodu zemdląła, zobaczywszy w gabinecie Łastoczkina trzech dyrektorów na raz. A trzech profesorów uprzejmie skłoniło głowy, spoglądając na siebie z szacunkiem. To przecież oni znaleźli sposób na zwalczenie kryzysu hotelowego.

- To co robimy z kontrolami? - zapytał jeden z Fiodorów. Biełosielski nie wiedział który - tak byli podobni.

- Nie mi tym problem - usłyszał swój własny głos.
- Tu są rzeczy ważniejsze. Kto mi pożyczycy na tydzień walec drogowy?

- Jeżeli zorganizujesz mi pół tony blachy ocynkowanej - odpowiedział drugi Biełosielski - to walec załatwiam ci od ręki.

- I jeszcze jeden drobiazg - powiedział trzeci Biełosielski. - Co zrobimy z Dusiami?

